

**IMPERIALISTA SKOLONIZOWANY.
O ROSYJSKIM PARADOKSIE KOLONIALNYM NA PRZYKŁADZIE
GENERATION „P” W. PIELEWINA I ROSJA W ZAPAŚCI A.
SOŁŻENICZYNA**

TOMASZ NAKONECZNY
(Poznań)

Key words: postcolonial studies – intellectuals – postmodernism – Victor Pelevin – Russian tradition – Aleksandr Solzhenitsyn

Ograniczenia dyskursu postkolonialnego

Osobliwością studiów postkolonialnych jako teorii naukowej jest to, że gdy tylko wykraczają poza zadania ściśle badawcze, w najlepszym razie zdają się „popadać” w politykę, w najgorszym zaś – wchodzić w konflikt z faktami i zdrowym rozsądkiem. Wynika to po części – zarówno przyczyna, jak i skutek – z nieodparcie nawykowego dla wielu uczonych przenoszenia czysto opisowych wyników swoich badań na złożoną rzeczywistość pozaakademicką i formułowania na tej podstawie wniosków o charakterze moralnym. W pewnej zaś mierze wynika z wypaczeń, jakim podlega każda wolna i twórcza myśl poddana systematycznej instytucjonalizacji, której skutki współczesny antropolog australijski, Joel Kahn, ujmuje z charakterystycznym anglosaskim realizmem zaprawionym szczyptą ironii: „tym, co, być może, jest najbardziej uderzające w całej debacie na temat kultury i różnicy, jest to, w jak małym stopniu wydaje się mieć ona związek ze światem poza akademią i w jak dużym stopniu wydaje się skupiać na takich kwestiach, jak *curriculum*, selekcja studentów, praktyki zatrudniania, promowania, zdobycie stałego stanowiska i tak dalej, które są w większości powszechnym przedmiotem zainteresowania naukowców”.

Uwikłanie teorii postkolonialnej w sieć przyziemnych zależności zawodowych i materialnych oraz wiążąca się z tym pośrednio kwestia mody intelektualnej nie są oczywiście jedynymi, a już na pewno nie najważniejszymi, ograniczeniami które wypaczają czysto badawcze przesłanie tej ważnej i potrzebnej gałęzi współczesnej humanistyki¹. Daleko

¹ Kto wie czy nie tym właśnie, i pragnieniem sprostania modzie środowiskowej, można tłumaczyć zupełne niemal fiasko poniesione przez Marię Janion w *Niesamowitej Słowiańszczyźnie*, w której autorka próbuje łączyć co najmniej dwie kompetencje: historyka literatury romantyzmu i mediewisty, nie stroniąc wszelako również od dalej idących uogólnień z zakresu historii myśli politycznej czy współczesnej socjologii. Fiasko wyraża się oczywiście w osiągniętych rezultatach, przede wszystkim w antagonistycznej (łacińsko-słowiańskiej) wizji dziejów tzw. Słowiańszczyzny, choć jego przyczyn należy dopatrywać się niewątpliwie w nadużyciu

poważniejsze wynikają z wyraźnie lewicowego posmaku samego kierunku, co w części zapewne można tłumaczyć generalnie lewicową orientacją większości współczesnych uniwersytetów, w części zaś tym, iż najbardziej wpływowi badacze postkolonialni pochodzą z krajów zależnych. To ostatnie nie jest tylko uboczną okolicznością biograficzną, lecz faktem o trudnym do przecenienia znaczeniu, określającym zarówno ogólny punkt widzenia na istotę i cele studiów postkolonialnych, jak i coś, co można by nazwać typem emocjonalności badawczej.

Być może powyższe względy wydadzą się oczywiste komuś, kto na teorię postkolonialną przywykł patrzeć według ustalonego wzorca obejmującego badanie rozmaitych form zależności kolonialnej i postkolonialnej oraz, idące za tym, postulowanie zniesienia owej zależności (a niekiedy w istocie jej odwrócenie). Praktyczne implikacje takiego stanu rzeczy polegające na znacznej polityzacji studiów postkolonialnych streszcza (niemal na pewno niezamierzenie) następująca wypowiedź Dariusza Skórczewskiego: „Postkolonialne spojrzenie na nasze piśmiennictwo ostatnich dwóch stuleci może zaowocować polskim crescendo w polifonicznym dyskursie światowej humanistyki. Uwolniona od partykularyzmu i umieszczona w polu doświadczeń wspólnych mieszkańcom różnych szerokości i długości geograficznych, literatura nasza mogłaby nareszcie zademonstrować to, że uczy się przemawiać własnym, pełnym głosem, wyzbywając się nękającego ja chorobliwie kompleksu niższości, bez potrzeby wtłaczania jej w martyrologiczny gorset, jako pełnowartościowy produkt współczesnego postkolonialnego społeczeństwa.²”

Zasadnicza myśl przytoczonego fragmentu nawet nie próbuje maskować swojego bezpośredniego przesłania. Przeciwnie – wydaje się w tej mierze prosta, jasna i logiczna: oto główna korzyść jakiej dostarcza metoda postkolonialna krajom zależnym polega na możliwości ich dowartościowania poprzez zmianę sposobu samopozostawania, a także poprzez ogólną zmianę statusu kulturowego. W ramach niniejszych rozważań chciałbym zaproponować szersze spojrzenie na problematykę postkolonialną, uwzględniające pragmatyczne aspekty zjawiska związane z imperialistą. A więc nie tylko dopuszczające go do głosu w nowej, mało dlań komfortowej sytuacji utraty bądź osłabienia dawnego prestiżu,

metodologicznym polegającym na nieuprawnionym mieszanu wzniosłych romantycznych historiozofii z całkiem przyziemnymi realiami średniowiecznej polityki międzynarodowej, a mówiąc ogólniej – na rozciągnięciu teorii postkolonialnej poza jej naturalne, dające się w pełni uzasadnić, dziewiętnasto- i dwudziestowieczne, granice czasowe, w przypadku ziem polskich możliwe do przesunięcia gdzieś na początek rozbiorów. Wprawdzie narodowe piśmiennictwo zyskuje w pracy profesor Janion kolejny pomnik intelektualnego rozmachu „lecz księżyc jest księżycem także bez sonaty”.

² Cyt. za: <http://www.znak.org.pl/files/Skorczewski.pdf>

ale również zwracające uwagę na podstawowe dylematy, z jakimi musi się borykać w procesie nieuchronnego przekształcania własnej tożsamości. O ile w przypadku „klasycznych” imperiów zachodnich rzecz wydaje się stosunkowo mało emocjonująca z racji ich zakrzepnięcia w ustalonym już paradygmacie postkolonialnym, o tyle imperialista rosyjski wciąż przysparza kłopotów i to nie tylko dlatego, że mniej czy bardziej otwarcie zgłasza swoje imperialne roszczenia wobec najbliższych sąsiadów, w dodatku w stylu przypominającym jego „najlepsze lata”. Również dlatego, że jest imperialistą niemal z gruntu odmiennym, tak „morfologicznie”, jak i w odniesieniu do ewolucji jego najważniejszych cech.

Najpierw jednak pragnę uczynić jaśniejszym przywołane wcześniej, polityczne, tło badań postkolonialnych. Wydaje się ono istotne, gdyż pozwala dostrzec pewną rudymetarną zależność: oto znaczącym współczynnikiem upadku kolonializmu w świecie zachodnim, i to zarówno w wymiarze politycznym jak i mentalnym, był (i w zasadzie pozostaje) gwałtowny napór ideologii lewicowej. Sprawia to, iż w ocenie rzeczywistego przebiegu zdarzeń i ich następstw (mam tu na myśli zwłaszcza dekolonizację Afryki i Bliskiego Wschodu), bardzo trudno oddzielić element rzeczywisty od, jakbyśmy dzisiaj powiedzieli, wirtualnego. Napór ów, rozpoczęty jeszcze u schyłku XIX wieku, pochodził w przeważającej mierze ze środowisk akademickich i przybrał na sile po II Wojnie Światowej za sprawą polityki rządów, w ramach której szkolnictwo wyższe zaczęło stanowić coś w rodzaju odrębnego sektora gospodarki narodowej, hołubionego za pomocą szczodrych subsydiów i przedstawianego jako najczystsze, bo bezinteresowne, źródło szeroko rozumianego postępu³.

Dało to niesłychaną pewność siebie wielu intelektualistom reprezentującym środowisko akademickie (i nie tylko im), zresztą nierzadko już i wcześniej skłonny do przyodziewania się w szaty misjonarskie. Przedmiotem ich natchnionego posłannictwa stały się po wojnie trzy przede wszystkim kwestie: pokoju (w obliczu zagrożenia nuklearnego), nierówności społecznej i kolonializmu. Żadna z nich nie stanowiła jakiegoś merytorycznego *novum*, przynajmniej w dyskursie społecznym Zachodu. Czymś nowym natomiast była skala ujęcia oraz żarliwość, z jaką instytucje naukowe, a za nimi dziennikarze, artyści oraz znaczna część tak zwanej opinii publicznej, zaczęły wypowiadać się na temat spraw, których moralna otoczka przesłaniała surowe, pragmatyczne jądro. Dochodziło w ten sposób do paradoksalnych sytuacji: młodzi, rozpieszczeni beneficjenci kapitalizmu stawali po jednej

³ Ideologiczną atmosferę tamtych lat oddaje zdanie wypowiedziane przez prezydenta uniwersytetu w Berkeley Clarka Kerra: „Czym były koleje w drugiej połowie XIX wieku i samochód w pierwszej połowie XX wieku,

strony barykady ze swoimi faktycznymi wrogami klasowymi, a intelektualiści, którzy światową renomę zawdzięczali niekwestionowanej hegemonii własnych języków narodowych grzmieli na anachroniczność systemu kolonialnego, który tę ich renomę podtrzymywał, a nawet w ogóle umożliwiał im zabieranie głosu na tak szerokim forum. Na ołtarzu polityki składano naukową bezstronność, rzeczywiste interesy społeczeństw, a nierzadko po prostu zdrowy rozsądek. Ofiarą tej swoistej duchowej irredenty padły głównie nauki humanistyczne, podatne na ideologizację niejako z natury rzeczy.

Nie chcę przez to powiedzieć, że idea studiów postkolonialnych wywodzi się z wypaczonego obrazu rzeczywistości. Przeciwnie, w aspekcie czysto poznawczym może stanowić przykład godnej uznania przenikliwości i uczciwości badawczej. W równej jednak mierze stanowi płaszczyznę rozstrzygnięć moralnych i światopoglądowych, a to czyni ją, przynajmniej na pewnym etapie, nader zawodnym narzędziem poszukiwania prawdy. W tym drugim bowiem przypadku racja leży w praktyce po stronie tych, których głos brzmi donośniej i pewniej. Wczorajszy hegemon może stać się dzisiejszą ofiarą, jeśli tylko z takich czy innych względów utraci pewność siebie warunkującą jego retoryczną skuteczność. W efekcie może dojść, i faktycznie dochodzi, do daleko idących przewartościowań kanonu literackiego (i szerzej – kulturowego). Jeśli uznać, jak chciał na przykład Chinua Achebe, racje moralne za instancję w pewnych przypadkach nadrzędną w stosunku do kryteriów artystycznych, oczyszczenie kanonu literackiego z dzieł emocjonalnie i moralnie niedojrzałych, bo tak należy wówczas traktować dzieła nie odpowiadające standardom etyki postkolonialistycznej, stanie się pierwszym zadaniem dla nowocześnie zorientowanego literaturoznawstwa.

Oczywiście takie podejście do studiów postkolonialnych może zostać uznane za uproszczone, ponieważ zdaje się pomijać to, czym są one przede wszystkim: dynamicznym nurtem badań kulturowych nastawionym na zdobywanie wiedzy na temat różnych, głównie mentalnych, aspektów zależności kolonialnej i postkolonialnej. Ponieważ jednak naturalną konsekwencją tego procesu, jeśli nie dla samych badaczy to przynajmniej dla ich pozauniwersyteckich adherentów, jest dążenie do zniesienia kulturowej i dyskursywnej dominacji byłych imperiów nad ich koloniami i przywrócenia (nadania) tym ostatnim pełnoprawnego głosu, tylko pierwszy człon niniejszej charakterystyki może zostać uznany za naukę w zwykłym znaczeniu słowa. Drugi odsłania rzeczywistość mającą więcej wspólnego z

tym ma szansę stać się w drugiej połowie tegoż stulecia przemysł wiedzy, a mianowicie osią rozwoju gospodarczego.” P. Johnson, *Odzyskanie wolności*. Tłum. T. Bieroń. Poznań 2002, s. 203.

brutalnym światem *realpolitik*, jakkolwiek narzędzia walki są tu nieporównanie subtelniejsze, aniżeli z uładowym światem akademii.

Po to, by uniknąć wnikania się w jeszcze większe komplikacje pojęciowe i historyczne niż te, na które wschodnioeuropejskie dyskursy postkolonialne naraża z jednej strony ich wciąż żywy emocjonalnie, pełen ambiwalencji stosunek do przeszłości własnych krajów, a z drugiej ich wtórność względem dorobku zachodniego (z pewnego punktu widzenia mogąca być utożsamianą z godną uznania „pionierskością”), proponuję przyjęcie kilku podstawowych rozróżnień metodologicznych. Otóż uważam, że aby dany kraj europejski uczynić obiektem sensownej analizy z punktu widzenia teorii postkolonialnej należy wziąć pod uwagę nie tylko klasyczne formy zależności, dobrze znane z literatury przedmiotu, takie jak np. eksploatacja ekonomiczna, dominacja militarna czy przemoc kulturowa, ale również, a właściwie przede wszystkim, te ich następstwa, które wyrażają się w sferze długookresowych relacji międzyetnicznych. W dodatku następstwa nie polegające na generalnej niechęci, pogardzie czy zawiści, te bowiem wydają się nieusuwalnym składnikiem większości relacji sąsiedzkich, lecz na trwałym lub względnie trwałym i uświadamianym⁴ uzależnieniu natury psychologicznej od narodu dominującego. Uzależnieniu przejawiającym się głównie w sferze językowej i symbolicznej, widocznym najlepiej w procesie budowy (odbudowy) tożsamości narodowej, jaki zachodzi zwykle tuż po wyzwoleniu się z bezpośredniej (ekonomicznej, militarnej) zależności. Wyodrębnienie czynnika etnicznego (analogicznego do rasy w przypadku kolonializmu zachodniego) daje choćby tę korzyść, że pozwala nie pomieszać z sobą bez reszty takich zjawisk jak okupacja i kolonizacja. Okupacja, by zasłużyć na miano kolonizacji wymaga czegoś więcej niż nagiej siły: wymaga mianowicie takich działań okupanta, które przyciągną do niego część uciskanych (najczęściej elity umysłowe) nie ze względu na strach, jaki potrafi budzić, lecz ze względu na jego imponującą atrakcyjność (cywilizacyjną czy kulturową).

Z powyższych względów na przykład za wielce problematyczny uważam kolonialny status PRL-u. Z jednej bowiem strony komunizm sowiecki posiadał tak wiele swoiście rosyjskich cech (bizantyjski kult wodzostwa, zachłanny imperializm czy nomenklaturyzacja administracji), iż bywa niekiedy postrzegany jako odmiana ideologii narodowej. Z drugiej jednak strony nie sposób nie dostrzec wyraźnie umownego charakteru zależności społeczeństwa polskiego od sowieckiego (rosyjskiego) reżimu. Nieprzeliczona liczba anegdot

⁴ Nieświadome uzależnienie, jeśli w ogóle jest możliwe, nie należałoby do zjawisk wchodzących w zakres pojęcia kolonializmu, gdyż musiałyby pociągać za sobą całkowite przeobrażenie lub zgoła zaturędotychczasowej tożsamości.

o Rosjanach, w których ci ostatni występują są jako istoty mało rozgarnięte, a przy tym na swój sposób sympatyczne, świadczy nie tyle o niechęci czy pogardzie do obcego, ile o nacechowanym rozbawieniem dystansie, do jakiego niezdolne są chyba narody skolonizowane we właściwym znaczeniu pojęcia. Trudno jednocześnie powiedzieć, by czynnik etniczny (w danym przypadku – rosyjski) jako taki odegrał jakąś znaczącą rolę w ukształtowaniu się specyficznej postkomunistycznej mentalności społeczeństwa polskiego.

Jeśli w niniejszym szkicu kraje Europy Wschodniej, a przede wszystkim Polskę, ujmuję jako teren ekspansji kolonialnej i – konsekwentnie – przedmiot badań postkolonialnych, czynię to ze świadomością uproszczonego charakteru tego rodzaju uogólnień. Ponieważ jednak rzecz dotyczy problematyki wykraczającej poza zadania postawione w artykule, ograniczam się do uwag natury ogólnej.

Imperialista skolonizowany

Dotychczasowe rozważania skupiały się na tych aspektach teorii postkolonialnej, które powodują, że nie może być ona stawiana na równi z innymi teoriami naukowymi zamykającymi się w obszarze własnych celów badawczych i nie roszczącymi sobie prawa do wypowiedzania się na tematy polityczne czy moralne. O ile porzucenie zgubnego nawyku przekraczania własnych kompetencji leży wyłącznie w gestii badaczy uprawiających studia postkolonialne, o tyle publiczne implikacje osiąganych przez nich wyników znajdują się już niemal całkowicie poza zasięgiem ich wpływu.

Rodzi to szereg niepokojących pytań, między innymi o powody, dla których niedawny (bądź obecny) imperialista powinien używać głosu swoim (niedawnym bądź obecnym) poddanym, godząc się w ten sposób na rewizję własnego statusu, własnej historii, a także na rezygnację z najgłębszych, emocjonalnych przyzwyczajzeń, które uczyniły go tym, czym jest: znanym i podziwianym aktorem na scenie świata, o którego zabiegają i z którym liczą się inni.

Wybór, jakiego mogą dokonać owi poddani jest prosty. Dyktuje go najbardziej fundamentalny interes własny i niezbywalne poczucie godności: ich głos powinien być nie tylko wysłuchany, ale też potraktowany na równi z głosem imperialisty, jako unikalny i zasługujący na uwagę głos w wielkim chórze ludzkości. Teoretycznie najbardziej pożądaną dla poddanego byłaby sytuacja, w której on i wszyscy pozostali, nie wyłączając niedawnego hegemonu, cieszyliby się równym statusem. Przynajmniej do czasu, dopóki sam nie urósłby w siłę pozwalającą przewyciężyć dawny resentyment i pokusić się o pozycję regionalnego bądź nawet światowego mocarza.

Jednak wybór przed jakim stoi imperialista jest sprawą daleko bardziej złożoną. Może on dążyć do bezwzględного utrzymania, a nawet rozszerzenia swojej supremacji, może z niej dobrowolnie zrezygnować, może też pójść jedną z dróg pośrednich – na przykład zachować jakąś formę spójności imperium za cenę jego częściowej lub całkowitej fragmentaryzacji (czyli dopuszczenia do głosu poddanych; jest to mniej więcej przypadek Imperium Brytyjskiego). Każdorazowo wszakże wybór ten określa splot niepowtarzalnych okoliczności, które sprawiają, że wynoszenie zachodniego „paradygmatu dekolonizacyjnego” do poziomu uniwersalnego układu odniesienia, stanowi przejaw myślenia ahistorycznego, nie liczącego się z faktami.

W przypadku wielkich mocarstw zachodnioeuropejskich o stosunkowo łagodnym demontażu imperiów kolonialnych zdecydowały zapewne nie tylko niedostatki potencjału militarno-demograficznego czy specyficzne podejście kulturowe wynikające z religijno-filozoficznych tradycji Zachodu, ale również, a może przede wszystkim, zupełny brak jednolitej i konsekwentnej polityki ujarzmiania tak charakterystycznej dla wielu imperiów azjatyckich. W rezultacie przemiany polityczne, jakim podlegał zachodnioeuropejski imperializm szły w parze z rosnącą świadomością własnych ograniczeń oraz poczuciem zobowiązań moralnych względem niedawnych poddanych. O ile mi wiadomo, nic takiego nie wystąpiło nigdy (przynajmniej w widoczny sposób) na gruncie imperializmu rosyjskiego, a już na pewno nie doprowadziło do porównywalnych następstw. Jednakże i temu imperializmowi, będącemu swoistą mieszaniną żarłocznego pruskiego militarizmu i mongolskiego centralizmu, nieobce okazały się dylematy, do jakich prowadzi posiadanie potężnych mocy cywilizacyjnych połączone z brakiem moralnej pewności siebie, co do celów i sposobu ich użycia.

O imperializmie rosyjskim napisano już tak dużo, że próba dodania czegoś nowego i istotnego zarazem byłaby nieuchronnie skazana na powtórzenia. Tu wystarczy, jeśli zostanie przypomniana jego niebywała geograficzna ekspansywność, dzięki której w stosunkowo krótkim czasie zdołał, startując z pozycji prowincjonalnego despoty, dołączyć do grona głównych rozgrywających w europejskiej i światowej polityce. Pod względem skali i efektywności jest to, jak się wydaje, zjawisko bez precedensu. Jest ono ważne również z interesującego nas tu punktu widzenia, ponieważ stało się czynnikiem umożliwiającym międzynarodową karierę literatury rosyjskiej. Literatura ta jeszcze w końcówce wieku XVIII *par excellence* lokalna, wtórna i naśladowcza, na fali sukcesów polityczno-militarnych państwa carów została wyniesiona na światowe salony, mogąc przy okazji poszczycić się kilkoma dziełami autentycznie wielkiej rangi. Swój dług wdzięczności spłaciła w sposób

najlepszy z możliwych: dostarczając pełnych mitotwórczego rozmachu uzasadnień dla działalności państwa, a także wzbogacając jego prawdziwie imperialny splendor. W ten sposób dzieje literatury rosyjskiej spłotły się podwójnym niejako węzłem z rodzimym imperializmem, dostarczając tym samym bogatego materiału dla badań postkolonialnych.

Jest to jednak tylko jedna strona medalu. Druga odsłania znacznie bardziej paradoksalne oblicze imperializmu rosyjskiego. Ponieważ jest on imperializmem państwa lądowego, nieposiadającego kolonii zamorskich, warunkiem jego przetrwania był i pozostaje nadal wysoki stopień spójności wewnętrznej. Dlatego też falsyfikując rzeczywistość Innego, a niemal każdorazowo jest nim wczorajszy sąsiad, nie może pozwolić sobie na pobłażliwy dystans, nieuwagę ani tym bardziej na improwizację, swoją zaborczość ograniczając li tylko do funkcji wojskowych bądź administracyjnych, tak jak to miało miejsce w przypadku kolonii francuskich czy angielskich. Musi być czujnym i zapobiegliwym strażnikiem jego, tj. Innego, własnej pamięci. Musi bezustannie wzbogacać wiedzę o nim, aby jego interpretacjom przeciwstawić z miejsca swoje. Kto wie czy nie tym właśnie należy tłumaczyć pewnego rodzaju pieczołowitość, z jaką w ZSRR uprawiano badania nad kulturami republik nierosyjskich. Nie chcę oczywiście powiedzieć, że imperialna polityka carów czy Rosji porewolucyjnej stanowi przykład w pełni świadomych i konsekwentnych działań w powyższej mierze. Przeciwnie, sporo w niej przypadkowości, a nawet zwykłego bałaganiarstwa, czego dowodzi postępowanie wobec ziem dawnego Królestwa Polskiego. Pragnę jedynie zwrócić uwagę na pewien naturalny wymóg, który, o ile nie jest przestrzegany, prowadzi do konsekwencji niekorzystnych dla imperialisty.

Zmuszony do rygorystycznej kontroli podbitych sąsiadów musi jednocześnie zachować odpowiednio wysoki poziom konsolidacji wewnątrz macierzystego społeczeństwa, stanowiącego jego bazę ludzką, materialną, a zarazem układ odniesienia dla wszelkich działań podejmowanych na zewnątrz. Ceną owej konsolidacji jest swoista kolonizacja wewnętrzna, wynikająca w znacznej mierze z bezustannego na przestrzeni wieków rozszerzania się wspomnianej bazy oraz konieczności nadążania za procesem owych zmian, polegającym w praktyce na wchłanianiu kolejnych ziem określanych jako ruskie bądź słowiańskie. W ten sposób baza nabiera cech równie abstrakcyjnych, co sfalsyfikowany obraz Innego.

Wszystko to powoduje stan podskórnego napięcia i niepewności, tak znamieny dla bohaterów Czechowa, a także dla wielkich przełomów w historii Rosji, takich jak np. reformy będące następstwem wojny krymskiej, rewolucja 1905 r. czy Gorbaczowowska pierestrojka, podczas których zdumiewająco realistyczne projekty społeczne natrafiały na nie mniej

zdumiewającą łatwość ich porzucania na rzecz chimer i fantazji. W istocie, imperium rosyjskie jawi się najbardziej neurotycznym spośród wszystkich społecznych tworów człowieka. Jego najbardziej chyba widoczną cechą jest to, że mitologie, jakie generuje na potrzeby zachowania własnej wewnętrznej spójności okazują się każdorazowo archaiczne w stosunku do wyzwań świata zewnętrznego. Samodzierżawie i cerkiew prawosławna na tle powszechnej demokratyzacji i triumfu nauk przyrodniczych, komunistyczna utopia – sukcesów cywilizacyjnych Zachodu czy mit Wielkiej Wojny Ojczyźnianej – pacyfizmu ery „pohistorycznej”, wyglądają dla zachodniego oka tyleż ponuro, co groteskowo. Samym Rosjanom wydają się jednak konieczne jako czynniki pozwalające osiągnąć spójność wewnętrzną w stopniu którego – biorąc pod uwagę istniejące warunki – nie byłyby prawdopodobnie zdolne zapewnić projekty mniej jednoznaczne.

Rosyjski paradoks da się sprowadzić do następującej ogólnej formuły, posiadającej zresztą bardzo aktualną wymowę: każda próba rozmontowania bądź rozbicia struktury imperialnej rodzi nagłą potrzebę stworzenia nowej, lepiej dostosowanej do realiów wewnętrznych i zewnętrznych. Wynika to z szeregu przesłanek natury praktycznej, między innymi ze specyfiki geograficznej kraju, jego różnorodności etnicznej czy też alokacji zasobów naturalnych (bogata w surowce Syberia stanowiąca gospodarcze *pendant* w stosunku do rolniczego południa etc.). Ciągłe postrzeganie Rosji jako barbarzyńcy, który za wszelką cenę powinien dostosować się do standardów świata cywilizowanego, jest oczywiście niczym innym jak zachodnią projekcją i próbą podporządkowania wschodniego kolosa swoim własnym celom. Niektórzy badacze postkolonialni zbyt łatwo przeoczą fakt, iż walka o hegemonię kulturową nie tylko nie zakończyła się wraz z upadkiem starych europejskich imperiów, lecz stanowi jedną z odwiecznych, uniwersalnych wariacji na temat przemocy. Oczywiście byłoby znacznie lepiej dla świata, gdyby przedmiotem rywalizacji stały się, ostatecznie i nieodwołalnie, idee ucieleśniające się np. w modzie, sztuce czy sporcie a nie w technologiach wojskowych. Niemniej podstawowa zasada swoistej „interesowności kulturowej” pozostaje w zasadzie niezmienną.

Problem przed jakim stanęła obecna Rosja nie polega chyba, wbrew opinii Ewy Thompson, na wyborze między zachowaniem imperium a dobrem obywateli, albowiem dobro obywateli jest w tym konkretnym przypadku w znacznej mierze tożsame z pomyślnością imperium (dość przywołać to, co na temat standardu życia dawniej i dziś mówią sami obywatele byłego imperium sowieckiego). Być może dopiero współczesna, quasi-imperialna, okrojona przestrzennie (pozbawiona republik nie wchodzących w skład dawnej bazy), a przy tym silna ekonomicznie i dużo bardziej elastyczna politycznie aniżeli w

przeszłości Rosja, będzie w stanie sprostać oczekiwaniom własnego społeczeństwa, własnych elit, a także przeciwstawić się imperializmowi kulturowemu Zachodu. Jeśli uda jej się przekonać świat oraz najbliższych sąsiadów do nowego projektu kulturowego, będącego efektem udanego połączenia modernizacji i tradycji, ma niemałą szansę na osiągnięcie preponderancji w zajmowanej przez siebie części świata. Zapewne wbrew gorzkiej świadomości jej byłych satelitów, którym taki stan rzeczy może wydawać się nadzwyczaj niesprawiedliwym. To, czy ów nowy projekt nazwiemy imperialnym, hegemonicznym czy mocarstwowym będzie raczej kwestią rozróżnień semantycznych niż faktów.

Sołżenicyn i Pielewin, czyli dwa oblicza paradoksu rosyjskiego

W kontekście powyższych rozważań proponuję przyjrzenie się dwóm tekstom współczesnej literatury rosyjskiej – „Generation „P” ” Wiktora Pielewina oraz „Rosja w zapaści” Aleksandra Sołżenicyna. Pierwszy jest głośną w Rosji, kultową wręcz, powieścią minionej dekady, drugi zaś wprawdzie należy bardziej do dziedziny publicystyki społecznej, lecz jest przede wszystkim głosem pisarza pochodzącego z kraju, w którym – parafrazując słowa Jewtuszenki – pisarz, to ktoś więcej niż pisarz. Oba teksty, ze względu na nazwiska autorów oraz szeroki rezonans ich twórczości, można umieścić w głównym nurcie rosyjskiego dyskursu społecznego. Ich znaczenie dla badań postkolonialnych polega na tym, że w sposób niezwykle sugestywny i bezpośredni odnoszą się do podstawowego rosyjskiego dylematu postimperialnego – jaka jest oraz jaka może i jaka powinna być nowa Rosja? – aczkolwiek czynią to na dwa skrajnie różne sposoby.

Warto zaznaczyć, iż oba teksty nie korespondują ze sobą ani w znaczeniu bezpośrednich wzajemnych nawiązań, ani w znaczeniu wspólnych odniesień do jakiejś określonej ideologii. Milionowych czytelników Pielewina, urodzonych w większości albo u schyłku ZSRR albo krótko po jego rozpadzie i należących do klas wielkomiejskich nie sposób utożsamiać z konserwatywną, w niemałym stopniu prowincjonalną publicznością Sołżenicyna. Ów nieharmonijny dwugłos jest jednak znaczącym sygnałem ważności kwestii narodowej w Rosji współczesnej. Potwierdza również – za sprawą swojej dwubiegunowości właśnie (poszukiwanie tożsamości w tradycji narodowej u Sołżenicyna przeciwstawione szyderczej demitologizacji tejże u Pielewina) – tezę o wewnętrznym skolonizowaniu społeczeństwa rosyjskiego i między innymi dlatego nie powinien być traktowany jako przypadkowe zestawienie.

Powieść Pielewina jest próbą prześmiewczego, charakterystycznego przy tym dla literatury postmodernistycznej, zdezawuowania całego szeregu rosyjskich (radzieckich)

mitów społecznych, takich jak na przykład przekonanie o przewodniej roli inteligencji, tradycyjny literaturocentryzm czy też mesjanizm. Wyłaniający się z niej obraz Rosji przypomina realia dobrze znane mieszkańcom innych krajów postkomunistycznych: wszechobecna przestępczość zorganizowana, bezpardonowa walka o przetrwanie, odurzająca fascynacja Zachodem, a przede wszystkim gwałtowna inwazja wirtualności. Wszystko to składa się w istocie na obraz kraju kolonizowanego (a może już skolonizowanego), bezwolnie zatracającego dotychczasową tożsamość lub przynajmniej nieskutecznie się temu procesowi opierającego.

Tekst Sołżenicyna natomiast reprezentuje pod wieloma względami (styl, zakres odwołań światopoglądowych, sposób myślenia) tradycyjny rosyjski dyskurs społeczno-filozoficzny, przez co pozwala się zestawić z klasycznymi dla tego nurtu pracami Włodzimierza Sołowjowa czy Mikołaja Bierdiajewa. Z pozorną bezstronnością i rzeczowością, powołując się przy tym na rozmaite dane, a także na listy otrzymywane przez autora od zwykłych obywateli, próbuje opisać rosyjską teraźniejszość po rozpadzie ZSRR. Odczytywany dosłownie przypomina w wielu miejscach rodzaj raportu o stanie państwa, zasadniczo jednak stanowi przykład jeremiady skupiającej się na powtarzonym parokrotnie pytaniu „czy my, Rosjanie, przetrwamy jako naród?”. Pytanie, w obliczu przytoczonych przez Sołżenicyna faktów i zestawień, głęboko uzasadnione. Tu już bowiem nie sama tylko anarchia wolnorynkowa, jak u Pielewina, lecz groźba biologicznej zagłady narodu, stanowi istotę autorskiego przesłania. Pełen autentycznej troski niepokój pisarza obejmuje jednak w nie mniejszym stopniu również duchowe aspekty życia społecznego Rosjan: „Jeśli nawet przetrwamy w sensie biologicznym, to czy zachowamy naszą rosyjskość, integralność naszej wiary, duszy, charakteru – nasze miejsce w strukturze światowej kultury? Czy przetrwamy w duchu, w języku, w poczuciu swojej historycznej tradycji?”⁵. Im też poświęca najwięcej uwagi.

Równocześnie z obu dzieł zdaje się płynąć sugestia, że rezygnacja przez Rosję (dobrowolna lub wymuszona okolicznościami) ze statusu hegemonia (również kulturowego) w regionie oznacza konieczność porzucenia rosyjskiej idei (jak wiadomo również „idea radziecka” „okazała się o inaczej rozłożonych akcentach wersją „idei rosyjskiej”⁶), czyli między innymi idei misji kulturowej w świecie oraz znacznej części tradycji, mitów, które w toku dziejów określiły jej narodową, nie tylko przecież *stricte* imperialną, tożsamość. W

⁵ A. Sołżenicyn, *Rosja w zapaści*. Tłum. J. Zychowicz. Warszawa 1999, s. 114.

⁶ J. Faryno, *Идея/Русская идея/Идейный*, w: *Mentalność rosyjska. Słownik*. Red. A. de Lazari. Katowice 1995, s. 36.

miejsce utraconej wielkości musiałyby powstać jednak coś prawdziwie znaczącego, coś co rekompensowałyby Rosjanom poniesioną stratę. Odpowiedź, jakiej udziela w tej mierze Sołżenicyn jest zaskakująco prosta: ratunek leży w powrocie do tradycji, a ponieważ ta ostatnia opiera się głównie na prawosławiu, w nim właśnie pisarz pokłada nadzieję na odrodzenie narodu. Dla Pielewina z kolei przyszłość Rosji związana jest, na dobre i na złe, z przemianami, jakie niesie globalizacja. Miejsce przeznaczone dla tradycji jest tu raczej umowne, a jej żywotność zależy od zdolności do przystosowania się do wyzwań świata zewnętrznego. Warto przy tym zauważyć, że obie wizje pisarskie przepaja w widoczny sposób, jakkolwiek w nierównym stopniu, tęsknota za wielkością (u Pielewina wydaje się słabsza za sprawą ironii). Stare i nowe spotykają się zatem w odwiecznym imperialnym pragnieniu i potwierdzają zarazem aktualność odwiecznego, przywołanego wcześniej paradoksu imperialnego.

Powieść Pielewina odsłania niejako samo sedno owego paradoksu. Oto na gruzach zniszczonego przez własne elity władzy imperium sowieckiego wyłania się rzeczywistość będąca pozornym zaprzeczeniem wszystkiego, co uosabiała miniona epoka. Moment przejścia wydaje się tak mało spektakularny, że łatwo przeoczyć doniosłość dokonujących się przemian.

Zewnętrznie zmieniło się mało – chyba tylko o tyle, że na ulicach pojawiło się więcej żebraków, a wszystko dokoła – domy, drzewa, ławki na skwerach – nagle jakoś od razu się postarzało i zbrzydło. Nie można też było powiedzieć, że zmieniło się samo sedno świata, ponieważ świat po prostu nie miał teraz żadnego sedna. We wszystkim panowała trochę przerażająca nieokreśloność. Mimo to jednak ulicami pędziły strumienie mercedesów i toyot, w których siedzieli niezachwianie pewni siebie i tego, co się dzieje, krzepcy faceci, a nawet, jeśli wierzyć gazetom, istniała jakaś polityka wewnętrzna⁷.

Tworzywem tej nowej rzeczywistości okazuje się pieniądz, lecz tym, co materializuje jej wewnętrznie skomplikowany charakter jest nie mniej skomplikowany, lecz równocześnie daleko bardziej uduchowiony świat reklamy. Wybór tego ostatniego jako terenu działania głównego bohatera – Wawilena vel Władimira Tatarskiego, wydaje się nieprzypadkowy. To właśnie tutaj niedawny poeta i słuchacz Instytutu Literatury znajduje nie tylko życiową przystań pośród zimnych podmuchów kapitalizmu, ale również skromne ujście dla swoich aspiracji artystycznych, albowiem „szczątkowy literaturocentryzm redaktorów i wydawców –

⁷ W. Pielewin, *Generation ,P'*. Tłum. E. Rojewska-Olejarczuk. Warszawa 2006, s.17.

swego rodzaju reliktowy biały szum radzieckiej psychiki – przynosił jeszcze drobne, mizerne owoce⁸”.

Paradoksalność nowej rzeczywistości ujawnia się na kartach powieści Pielewina stopniowo, równolegle z osiągnięciem przez bohatera kolejnych stopni „wtajemniczenia” społecznego. Trzeba pamiętać, że jest to paradoksalność przesączona i wyostrzona przez oko postmodernisty. Lecz również w takiej formie – ironicznej wizji, persyflażu – nie pozbawiona elementów chłodnej, głęboko realistycznej obserwacji (jak zauważa w jednym z wywiadów sam autor: „Jeśli pominąć opisywane w tej książce absurdy, jest ona wyjątkowo realistyczna”). Początkowo składają się na nią stosunkowo łatwo uchwytnie sprzeczności życia codziennego.

W telewizji tymczasem pokazywano te same mordy, na których widok przez ostatnie dwadzieścia lat wszystkim robiło się niedobrze. Teraz właściciele tych mord mówili słowo w słowo to samo, za co dawniej wsadzali innych do ciupy, tylko o wiele śmieiej, ostrzej i bardziej radykalnie⁹.

Rozwój kariery zawodowej bohatera, pozwalając mu wniknąć w ukryte mechanizmy rządzące jego nową profesją, odsłania zarazem kolejne, coraz bardziej niepokojące, aspekty poradzieckiego świata.

Tatarski pojął, czym różni się era rozkładu imperializmu od epoki pierwotnej akumulacji kapitału. Na Zachodzie zamawiający i copywriter razem usiłują zrobić pranie mózgu konsumentowi, a w Rosji to copywriter ma za zadanie zrobić wodę z mózgu zleceniodawcy¹⁰.

– Na czym polega główna osobliwość rosyjskiego cudu gospodarczego? Główna osobliwość rosyjskiego cudu gospodarczego polega na tym, że gospodarka zapada się coraz głębiej w dupę, podczas gdy biznes rozwija się, krzepnie i wychodzi na arenę międzynarodową. A teraz pomyśl: czym handlują ludzie, których widzisz dokoła siebie?

– Czym?

– Tym, co jest całkowicie niematerialne. Czasem antenowym i przestrzenia reklamową – w gazetach albo na ulicach. Ale czas sam w sobie nie może być antenowy, dokładnie tak samo jak przestrzeń nie może być reklamowa. Połączyć przestrzeń i czas poprzez czwarty wymiar pierwszemu udało się Einsteinowi. Stworzył taką teorię względności – może obito ci się o uszy. Władza radziecka także to robiła, ale paradoksalnie – o tym wiesz: ustawiali więźniów, dawali im łopaty i zakazi kopać rów od ogrodzenia do obiadu. A teraz robi się to bardzo prosto – jedna minuta czasu antenowego w porze

⁸ Ibidem, s. 65.

⁹ Ibidem, s. 17.

¹⁰ Ibidem, s. 31.

największej oglądalności kosztuje tyle samo, co dwie kolorowe szpalty w jednym z centralnych czasopism¹¹.

W końcu okazuje się, że za wszystkim stoi gigantyczna, międzynarodowa organizacja wywodząca swoją filozofię, swoje rytuały oraz hierarchię ze ...starożytnego Babilonu, a dostęp do niej główny bohater zawdzięcza posiadaniu nietypowego imienia (Wawilen – ros. Babilon). Melanż tej quasi-mistyki i przygodowo-sensacyjnej fabuły jest oczywiście objęty licencją poetycką Pielewina i nie ma wiele wspólnego z wymiarem ideowym powieści.

Ostatecznie paradoks nowej Rosji polega na tym, że za wirtualnym sztafżem kapitalizmu stoją nie tylko ci sami ludzie, którzy „czerwone zamienili na czerwone” (nawiązanie do koloru flagi sowieckiej i barw pepsi-coli), lecz również te same w istocie dążenia i potrzeby wynikające niejako z samej natury północnego kolosa. Wizja Pielewina, oczyszczona z literackiej pozłoty i uwolniona z deformującego gorsetu poetyki postmodernistycznej, zdaje się odpowiadać podanej wyżej formule rosyjskiego paradoksu: przeznaczeniem Rosji jest pozostawanie w paradygmacie imperialnym, jakkolwiek unowocześnionym poprzez dostosowanie się do realiów świata zglobalizowanego, z pozoru łagodniejszym i „mniej narodowym”.

Z pewnego punktu widzenia cała Pielewinowska quasi-mistyczna i jawnie satyryczna maszyneria maskuje gorączkowe poszukiwanie „idei”, tak znamienne dla rosyjskiej tradycji. Idei zdolnej do nadania sensu nowemu, powstającemu właśnie imperium pieniądza i reklamy. Jednocześnie idei na miarę wielkiej narodowej przeszłości.

My dawniej mieliśmy prawosławie, samodzierzawie i ludowość. Potem był ten cały komunizm. A teraz, kiedy się skończył, w ogóle nie ma żadnej idei oprócz pieniędzy. A przecież za pieniędzmi nie mogą stać po prostu pieniądze, co nie? Bo tak to ni cholery nie wiadomo czemu jedni są na przedzie, a inni na końcu¹².

Trudno wyobrazić sobie młodego menedżera któregokolwiek innego kraju postkomunistycznego, w którego myśleniu, a przede wszystkim praktyce zawodowej, idea narodowa byłaby obecna w większym stopniu niż ma to miejsce w przypadku bohatera Pielewina. „Rosyjska (ruska) idea” wydaje się tymczasem naznaczać niemal każdy element świata przedstawionego powieści: nawet to, co na wskroś obce, nierosyjskie, uzyskuje znaczenie dopiero w zestawieniu z rodzimym (np. wymyślane przez Tatarskiego nazwy

¹¹ Ibidem, s. 135.

¹² Ibidem, s.183.

reklamowanych produktów). Bywa, że idea ta zostaje przywołana wprost, jak na przykład w zleceniu, jakie Tatarski otrzymuje od jednego ze swoich klientów:

Napisz mi rosyjską ideę na jakieś mniej więcej pięć stron. I wersję skróconą na stroniczkę. Żeby tam było wszystko wyłożone wyraźnie, bez mętneho kitu. I żebym każdemu zagranicznemu popaprańcowi - biznesmenowi czy innej piosenkarce - mógł to wbić do łba. Żeby sobie nie myśleli, że myśmy tu w Rosji po prostu nakradli forsę i zaciągnęli żelazną kurtynę. Żeby te kurwy poczuły taką siłę ducha jak w czterdziestym trzecim pod Stalingradem, jasne?¹³

Powieść, przy całym swoim „konstruktywnym” stosunku do nowej rosyjskiej rzeczywistości, wydaje się oddawać niekiedy te same nastroje, które ożywiają najbardziej przygnębiające raporty zachodnich politologów, zakładające, iż na zgliszczach sowieckiej Rosji może odrodzić się

państwo totalitarne, bardziej faszystowskie niż komunistyczne. W państwie tym absolutne panowanie należeć będzie do nomenklatury drugiego, a następnie i trzeciego, szczebla – mniej zakompleksionej, bardziej aktywnej i jednocześnie o wiele bardziej okrutnej, chciwej, cynicznej i nieetycznej. Wolnej od jakichkolwiek ograniczeń, w rodzaju ideologii i strachu (pełniącego obowiązki nomenklaturowej moralności), i dlatego – skrajnie i świadomie antynarodowej¹⁴.

Tekst Sołżenicyna ukazuje poglądy autora bezpośrednio, w formie przejrzystego wywodu, przez co łatwo o ich strukturyzację i hierarchizację. Znajduje to zresztą wyraz w podziale pracy na rozdziały odpowiadające głównym podjętym w niej wątkom problemowym: władzy i ustrojowi państwowemu w Rosji, diasporze rosyjskiej powstałej wskutek rozpadu ZSRR, relacjom z krajami sąsiedzkimi oraz przyszłości państwa i narodu rosyjskiego. Jednak styl w jakim wypowiada się autor mocno odbiega od standardowych wzorców przyjętych dla publikacji o charakterze diagnostycznym (a czymś takim niewątpliwie jest *Rosja w zapaści* w założeniu): bywa pompatyczny, mocno retoryczny, a przy tym nieznośnie kaznodziejski. Można wręcz odnieść wrażenie, że przemawia do nas nie pisarz czy publicysta ani nawet ideolog, lecz czystej wody profeta przypominający owe zapalczywe postaci duchownych polemistów z czasów raskołu. Pomijając już nawet uboczną raczej kwestię stylu, istnieje znacznie więcej, i to bardziej ważkich, powodów, dla których tekst Sołżenicyna musi wydać się odpychający komuś, kto nie podziela jego punktu widzenia.

¹³ Ibidem, s. 184.

¹⁴ Cyt. za: W. Marciniak, *Rozgrabione imperium. Upadek Związku Sowieckiego i powstanie Federacji Rosyjskiej*. Kraków 2004, s. 280.

Przede wszystkim jest to tekst wyrastający organicznie ze starego, na poły archaicznego ducha imperialnego, pełen oczywistych zafałszowań, półprawd i przemilczeń, zwłaszcza w odniesieniu do narodów ościennych, przez co dostarcza z pewnością bogatego materiału dla badacza-postkolonialisty. Pisze na przykład autor *Archipelagu Gułag*:

Poszerzenie terytorialne Rosji dokonywało się w znacznej mierze drogą wojen nie zaczepnych, lecz obronnych. (Jakkolwiek przyłączenie Azji Środkowej i Zakaukazia nie było koniecznym warunkiem stabilności Rosji)¹⁵.

Od samego początku istnienia państwa ukraińskiego rozdmuchiwano tam – w celu umocnienia szeregów politycznych – poczucie rzekomego zagrożenia militarnego ze strony Rosji. Kiedy poczęła się tworzyć armia ukraińska, od oficerów przy składaniu przysięgi żądano, aby deklarowali specjalną gotowość do walki właśnie przeciw Rosji. *Groźba* [podkr. A.S.] wojny była przez nich czymś tak pożądanym (dla umocnienia trochę jeszcze mglistej „ukraińskiej świadomości”), że wystarczyło, iż Rosja wyraziła tylko *zamiar* [podkr. A.S.] sprzedaży ropy naftowej nie za bezcen, lecz po cenach światowych, aby z Ukrainy zareagowano groźnie: „To wojna!”¹⁶.

Jednak tym, co czyni go nieoczywistym i godnym uwagi jest obecne w nim pragmatyczne jądro zawierające przemyślenia dotyczące przyszłości Rosji, a ściślej jej państwowego charakteru. Sołżenicyn nie oddziela bowiem państwa od narodu, w istnieniu pierwszego widząc warunek i rację dla istnienia drugiego. A biorąc pod uwagę przeszłość Rosji, jej obszar geograficzny oraz najlepiej – według niego – pojęty interes własny uważa, że trwałość i integralność państwa rosyjskiego stanowi fundament pomyślności narodu (szczególnie mocno akcentowana jest w tym kontekście potrzeba bezpieczeństwa).

Tak rozległe państwo jak Rosja nie może bowiem istnieć bez jednolitej silnej władzy centralnej; przy przeciągającej się niepewności i bałaganie oznaczałoby to po prostu rozpad państwa rosyjskiego¹⁷.

Chociaż federacja zupełnie nie jest dla Rosji formą organiczną, chociaż została wprowadzona drogą przymusu, to jednak zakorzeniła się ona już w świadomości milionów ludzi, w stosunku mas różnej narodowości do otaczającego świata. I tym bardziej przy całym katastrofalnym stanie naszej państwowości i roli w niej narodu rosyjskiego, zmuszeni jesteśmy tę spuściznę przyjąć¹⁸.

¹⁵ A. Sołżenicyn, op. cit., s. 73.

¹⁶ Ibidem, s. 51.

¹⁷ Ibidem, s. 79.

¹⁸ Ibidem, s. 80.

[...] należy budować nie WNP, lecz silną państwowość rosyjską – bo to ona jeszcze nie została stworzona, bo to ona stoi jeszcze pod znakiem zapytania¹⁹.

Jest to, jak można zauważyć, dość tradycyjny pogląd na rolę państwa w rosyjskiej historii, mocno zabarwiony „pragmatycznym imperializmem”, jaki cechował niektóre spośród demokratycznych i liberalnych nurtów politycznych u schyłku caratu. Sołżenicyn żegna się jednak nieodwołalnie z ideą rozszerzonego imperium jako szkodliwą, a nawet niemożliwą do urzeczywistnienia.

Kontury ZSRR stanowią dla naszego kraju bezpowrotną przeszłość i zachęty do ich przywrócenia należy odrzucić jako całkowicie jałowe.²⁰

Trzeźwa i pragmatyczna linia wywodów Sołżenicyna-politologa załamuje się jednak tuż za granicą oddzielającą rozważania oparte na surowym materiale faktograficznym od tych, które dyktują pisarzowi jego własne, głęboko osobiste potrzeby emocjonalne. Ratunek dla znękaney Rosji widzi bowiem w powrocie do jej tradycyjnych form duchowości, a zwłaszcza do prawosławia.

Właśnie prawosławie, a nie imperialna państwowość, stworzyło rosyjski typ kultury. Prawosławie, zachowywane w naszych sercach, obyczajach i zachowaniach, umocni to duchowe spoiwo, które jednoczy Rosjan bardziej niż więzi plemienne. Jeśli w nadchodzących dziesięcioleciach nadal będzie się uszczuplać nasza liczebność i nasze terytoria, a nawet państwowość, jedno tylko pozostanie w nas nie skażone: wiara prawosławna i mająca w niej swoje źródło wrażliwość na świat²¹.

Jeśli rzeczywiście potrafimy się wyzwolić z tego prymitywnego światopoglądu materialistycznego, w którym przez całe dziesięciolecia nas wychowywano, a który twierdzi, że to byt, byt, byt określa świadomość, to musimy koniecznie zrozumieć, co następuje: nasza przyszłość – a także przyszłość naszych dzieci i naszego narodu – zależy przede wszystkim i w najgłębszym sensie właśnie od naszej świadomości, od naszego ducha, a nie od ekonomiki.²²

Trudno uznać, by tak zwaną „ideę rosyjską” traktowano wśród elit rosyjskich, a tym bardziej bezpośrednio w kręgach władzy, jako coś innego aniżeli instrument do osiągnięcia zupełnie przyziemnych celów. Co więcej, biorąc pod uwagę dostępne statystyki dotyczące

¹⁹ Ibidem, s. 30.

²⁰ Ibidem, s. 28.

²¹ Ibidem, s. 121.

²² Ibidem, s. 129.

skali i intensywności życia religijnego w Federacji Rosyjskiej, nie sposób przypuścić, by spełnienie oczekiwań Sołżenicyna było w jakimkolwiek istotnym sensie możliwe.

Obie wizje łączy dostrzeżenie istotności „rosyjskiej idei” (w przypadku Sołżenicyna połączone z uznaniem potrzeby jej rewitalizacji), nieuchronności odradzania się imperium, wolnego wszelako od dawnych wypaczeń i opartego głównie na fundamencie kulturowym (potrzeba „idei”). Dla Pielewina pozorną pustką emocjonalno-duchową powstała po rozpadzie starego imperium, wypełnia trudno uchwytnie, na poły niezmaterializowane, lecz niezwykle dynamiczne i bujne życie uosabiane przez najbardziej wyrafinowany przejaw duchowości kapitalistycznej – reklamę. Nowa, modernizująca się Rosja wchłania i przetwarza rozmaite wątki pochodzące ze świata zewnętrznego (zarówno Zachodu, jak i Wschodu), które mniej czy bardziej udanie konkurują z pozostałościami jej własnej tradycji. To, czym stanie się ona ostatecznie zależy od szeregu rozmaitych, trudnych często do przewidzenia czynników, niemniej charakter i ranga pisarstwa samego Pielewina, zdają się rokować w tej mierze jak najlepiej. Warto zwrócić przy okazji uwagę na widoczną u autora *Generation P*, zarówno tu, jak i w całej jego twórczości, zależność od uwarunkowań kulturowych uchodzących za typowo rosyjskie (bezustanna potrzeba samookreślenia, tak w wymiarze indywidualnym, jak i ogólnonarodowym, fascynacja „metafizyką duchowej przemiany”, wygrywanie rozmaitych sprzeczności i paradoksów wokół opozycji Wschód-Zachód etc.), a w perspektywie historycznoliterackiej zwłaszcza od Bułhakowa, co pozwala widzieć w nim „ponowoczesnego” kontynuatora wielu tradycyjnych wątków rosyjskiego dyskursu narodowego.

Dla Sołżenicyna natomiast nowa jakość życia społecznego w Rosji tożsama jest z martwością i częściowym lub całkowitym zanikiem najcenniejszych wartości narodowych. Wizję pisarza przepaja wprawdzie autentyczna troska o przyszłość narodu, lecz jest to, jak się wydaje, wizja zbyt mocno uwikłana w przeszłość, by traktować ją jako coś więcej niż interesujący przykład pewnego, historycznego już w zasadniczych przejawach, typu myślenia.

Wnioski

Studia postkolonialne, mimo imponujących osiągnięć w badaniach nad różnymi formami zależności imperialnej i postimperialnej z natury rzeczy, nie dorastają do własnych założeń (uzyskanie sprawiedliwego, zgodnego z rzeczywistością obrazu relacji kolonialnych). W praktyce przeobrażają się nawet w coś nierównie bardziej niezgodnego ze standardami naukowej bezstronności: w narzędzie wykuwania pozycji dla autorów, krajów i kultur

postrzegających się jako ofiary cywilizacyjnej hegemonii wielkich mocarstw. Angażowane w ten sposób emocje czynią z postkolonializmu w ostatecznym rozrachunku bardziej arenę walki o uznanie aniżeli domenę beznamiętnej sprawozdawczości. Być może podobne uwagi można odnieść do wielu innych lub zgoła wszystkich dyscyplin kulturoznawczych. Tu jednak chodzi o coś więcej niż konwencjonalne uznanie ludzkiej stronniczości. Stawką są bowiem nie tylko poszczególne obrazy świata, ale także rodzaj zdroworozsądkowej równowagi, jaką zapewnia uwzględnienie interesów imperialisty.

Omówiony tu pokrótce przypadek imperializmu rosyjskiego ukazuje w zarysie niejednoznaczność oraz niejednorodność „kwestii kolonialnej” (i zarazem „postkolonialnej”). Dziki i okrutny barbarzyńca dla wrogów, depozytariusz najgłębszych ludzkich wartości dla wielbicieli, niezależnie od wzbudzanych wyobrażeń, w kategoriach realnej polityki rosyjski imperialista zmuszony jest do ciągłego wysiłku na rzecz utrzymania własnej integralności. Jego specyfika polega również i na tym, że nawet jego baza (wciąż zresztą chwiejna i ruchoma) poddana jest intensywnym działaniom kolonizacyjnym. Jednocześnie skazany na baczność obserwację ze strony cenzora zewnętrznego (Zachód, z którym chce i z którymi musi się liczyć), a w istocie zagrożony zdominowaniem przezeń, skłonny jest częstokroć do poszukiwania zmodernizowanej formuły imperialnej.

Ów powszechny przymus, jakiemu na gruncie postkolonializmu poddawany jest imperialista, nierzadko zresztą za własnym przyzwoleniem, polegający na wtłaczaniu go w dławiący gorset moralności ofiary, przynosi oprócz niewątpliwie dobroczynnych skutków moralnych (np. uwrażliwienie na krzywdę) również niepokojąco negatywne następstwa psychologiczne. Czyni bowiem samego imperialistę mniej pewnym siebie, a tym samym mniej pewną siebie i mniej stabilną czyni cywilizację, której ów jest strażnikiem. Zbyt chętnie zapominamy, że wielkie imperia bywały w przeszłości nie tylko narzędziami represji i ucisku, ale również ładu i stabilizacji. *Tempora mutantur et nos mutamur in illis.*